

Rozdział I

Hadar biegł przez Krokodyle Mokradła, kierując się na północny zachód. Z każdym krokiem oddalał się od wojownika z płonącym mieczem, z którym musiał stoczyć walkę. „Pokonałbym go, na pewno. Już ledwo trzymał się na nogach” — myślał. Ból w prawym boku znów dał o sobie znać. Chyba w coś uderzył, kiedy Bezimienny odrzucił go falą energii razem z jednym z furgonów. „Chociaż gdyby trafił mnie w bok, różnie mogłoby się to skończyć. I może wcale nie osłabł, tylko udawał. Poza tym Kadryjczycy byli już blisko. Nawet gdybym go zabił, oni mogliby dokończyć jego dzieło. W sumie dobrze się stało, że walka pozostała nierozstrzygnięta. Spotkamy się jeszcze kiedyś i dokończymy to, co zaczęliśmy, tym razem bez udziału Bezimiennego”.

Wykonał misję połowicznie. Nie dostarczył ładunku, ale pozbył się tego, który miał go odebrać. Król Olan powinien być zadowolony. Nie wiedział, dlaczego wioził dzieci, ani co zrobił Bezimienny, by władca Tariny mu je dostarczył. Nie miał również pojęcia, co człowiek w białej masce zamierzał z nimi zrobić. Czy miały skończyć jako jego zabawki? Czy może otoczyłby je opieką, by później wcielić w szeregi swojego stowarzyszenia? I dlaczego wszystkie dzieci były czarne? Musiało to mieć jakieś znaczenie. Gdyby Bezimienny szukał jakichkolwiek sierot, bez problemu znalazłby je w Kadras, a nie sprowadzał z dalekich krain.

Nagle wydało mu się, że usłyszał pisk dziecka. A może dzwoniło mu w uszach po tym potężnym ciosie Bezimiennego. Nie, znów dobiegł go ten dźwięk. Zatrzymał się i starał zlokalizować jego źródło. Kolejny pisk dobiegł z południa. Wyglądało na to, że jakieś dziecko — zapewne z „jego” furgonów, bo co robiłyby inne dzieci na tych bagnach — ma kłopoty. Pomóc mu? Każda strata czasu mogła go kosztować życie lub utratę wolności — żołnierze kadryjscy na pewno podjęli już pościg. Nie czuł, że jest coś winny tym małym istotom, ale jednocześnie nie potrafił ich zostawić swojemu losowi. Ruszył na południe.

Przebiegając przez wodę, sięgającą mu za kolana, rozglądał się uważnie na boki. Killkadziesiąt metrów na zachód zauważył coś sunącego pod wodą. Nie był w stanie ocenić rozmiarów tego stworzenia, widział tylko jego oczy, ale jeśli to krokodyl, musiał czym prędzej wydostać się na brzeg. Przyspieszył biegu. Unosząc nogi nienaturalnie wysoko, poczuł nasilający się ból w prawym boku. Kiedy wyszedł z wody, od razu spojrzał w kierunku zbliżającego się zwierzęcia, lecz zauważył tylko szybko rozpraszający się ślad na tafli rozlewiska. Stwór zrezygnował czy zanurzył się pod wodę, by za chwilę wyskoczyć z niej w niespodziewanym ataku?

Nieważne, kolejny krzyk dziecka powiedział mu, że jest już blisko celu. Pobiegł w kierunku pobliskich zarośli. Za nimi zauważył siedzące na drzewie: jedną z Pań P. oraz dwójkę dzieci, chłopczyka i dziewczynkę. Pod drzewem, tuż przy brzegu, swoje paszcze najeżone ostrymi zębiskami otwierały dwa ogromne krokodyle. Musiały mieć około pięciu metrów długości. Ich masywne, zielono-brązowe cielska gotowały się do pojedynku o siedzącą na drzewie uczkę.

Hadar nie miał czasu, by czekać na rozstrzygnięcie walki. Musiał się ich pozbyć jak najszybciej, Kadryjczycy mogli dogonić go lada moment. Z początku chciał użyć swojej wypróbowanej broni — lodowego kolca — ale uznał, że nawet jeśli pozbyłby się w ten sposób jednego krokodyla, drugi zdążyłby go dopaść przed wypuszczeniem kolejnego pocisku. Zdecydował, że lepiej unieruchomić stwory i szybko uciec z miejsca starcia.

Rywale chwilowo skupiali całą uwagę na sobie, dzięki czemu udało mu się podejść dość blisko, zanurzyć topór w wodzie i uformować dookoła nich barierę z wody, która po zamrożeniu krępowała ich ruchy. Krokodyle to jednak silne zwierzęta, rozbicie lodowej

zapory było kwestią minuty, najwyżej dwóch, Hadar musiał więc działać szybko. Podbiegł do drzewa.

— Szybko, schodźcie póki się nie uwolniły!

Pani P. spojrzała niepewnie na uwięzione gady, ale musiała uznać, że warto zaryzykować, bo czym prędzej zeszła z drzewa. Jej śladem podążyła dwójka dzieci. Hadar odszedł kilka kroków, zamierzając odprowadzić całą trójkę w bezpieczne miejsce, gdy zza pleców dobiegł go głos Pani P.:

— Jeszcze Kamana. Kamana, schodź szybko, nie możemy czekać.

Hadar odwrócił się, podszedł do drzewa i dopiero teraz dostrzegł trzecie dziecko — dziewczynkę, najwyżej siedmioletnią, która schroniła się wysoko wśród gałęzi. Wcześniej nie mógł jej dostrzec, ponieważ zasłaniała ją listowie.

— One się zaraz uwolnią. Musimy iść — ponaglał Hadar, zerkając na zyskujące coraz więcej miejsca krokodyle.

— Kamana, złaż natychmiast, bo cię zostawimy — rzuciła ostro Pani P.

Dziewczynka jednak nie schodziła na ziemię. Pozostałe dzieci, nerwowo popatrując na uderzające o barierę gady, zaczęły coś mówić do swojej koleżanki. Hadar, poza imieniem Kamany, nie rozumiał z ich mowy ani słowa. Był to jakiś zupełnie nieznan mu język, którego wyrazy zawierały dużo samogłosek oraz liter *B* i *M*. Gdy stało się jasne, że i apele pozostałych dzieci nie pomagają, zwrócił się po raz ostatni do opiekunki:

— Nie możemy dłużej czekać. Za mną.

Odbiegł kilka kroków, Pani P. podążyła za nim, ale szybko się zatrzymała. Dzieci nawet nie ruszyły się z miejsca. Najwyraźniej były ze sobą tak zżyte, że nie chciały zostawiać koleżanki na pewną śmierć, nawet gdyby je same miał spotkać podobny los. To psuło plany Hadara, z drugiej jednak strony ich postawa bardzo mu zaimponowała.

Ponownie podbiegł do wody i zanurzając w niej broń, stworzył kolejną warstwę lodu dookoła krokodyli. Mógł tak co prawda wzmocnić co jakiś czas gadzie więzienie, ale nie miał na to czasu; był przekonany, że Kadryjczycy za chwilę pojawią się w okolicy. Potrzebował permanentnego rozwiązania. Wspiął się więc na zapórę, jej część zamienił w wodę, uformował z niej kolec i ponownie zamroził. Mocnym ciosem z góry zbił szpikulec w łeb jednego ze stworów. Zwierzę przestało się ruszać, ale drugi gad skoczył do przodu. Hadar w porę odsunął się w lewo, rana w jego boku uderzyła go jednak nieprawdopodobnym bólem. Przez chwilę nie był w stanie nic zrobić. Na szczęście stwór zatrzymał się na kancie bariery, nie potrafiąc z niej zejść. Niezdarnie wywijał w powietrzu swoimi krótkimi kończynami, szukając oparcia. Hadar nie zwykł marnować takich okazji, kilkoma szybkimi ciosami wbił się w jego masywne cielsko, niemal ucinając gadowi łeb.

— Aaaaaa! — zawył z bólu podczas wyprowadzania ostatniego cięcia.

Pani P. i dzieci wpatrywały się w niego z podziwem. Po kilku chwilach Kamana, widząc, że nie zagraża jej już niebezpieczeństwo, zeszła z drzewa i ku uciesze pozostałych dzieci, dołączyła do grupki.

— Szybko, za mną — rozkazał Hadar.

Przebiegłszy kilka kroków, spojrzął za siebie. Dzieci nie potrafiły dotrzymać mu tempa. „W taki sposób nie uciekniemy — myślał. — Dobrze, że granica bagien jest blisko”. Wziął chłopczyka na barana, a większą dziewczynkę pod pachę lewej ręki. W prawej trzymał topór. Pani P. pozwoliła najmniejszej Kamanie wsiąść sobie na plecy i w ten sposób ruszyli przed siebie. Nie widzieli pościgu, ale Hadar wiedział, że kadryjscy żołnierze już przeczesują okolice niedawnej potyczki i na pewno niedługo dotrą i tutaj.

Po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów, ponownie dotarli do wody. Dostrzegli krokodyle oczy wystające ponad jej powierzchnię. „Jedna, dwie, trzy pary — policzył Hadar. — A nie wiadomo, ile jeszcze czeka całkowicie zanurzonych pod wodą”. Od przeciwległego

brzegu dzieliło ich jakieś dwadzieścia metrów, mieli raczej nikłe szanse na bezpieczne dotarcie do niego w konwencjonalny sposób. Hadar zanurzył więc topór w wodzie i zaczął ją zamrażać, tworząc prowizoryczny most, po którym powoli posuwali się naprzód. Obawiając się pozostawienia za sobą śladów, które wskazałyby pogoni kierunek jego ucieczki, odwracał się co jakiś czas i odmrażał nieużywane już kawałki mostu. Było to dość problematyczne zajęcie, ponieważ najpierw musiał zamrażać wodę przed sobą, potem przepuszczać Panią P. przed siebie, bo za chwilę niszczyć most za plecami i powracać na przód ucieczki. Manewrowanie na niezbyt szerokiej lodowej kładce, w dodatku z dziećmi na plecach i pod pachą, było ryzykowne i zabierało dużo czasu, ale stanowiło konieczność dla ich bezpieczeństwa.

Niestety ich powolne przemieszczanie się przykuło uwagę zamieszkujących mokradła drapieżników. Dwie pary krokodylich ślepi powoli, acz konsekwentnie, zmierzały w ich kierunku. Byli dopiero nieco za połową drogi, nie zdążyliby dotrzeć do brzegu, bieg przez wodę nie wchodził przecież w grę — byliby w niej łatwym celem. Na moście także nie byli bezpieczni, ponieważ stwory, jak mieli okazję przekonać się niedawno, potrafiły skakać. Hadar miał jednak pomysł. Ponieważ jeden z gadów przyspieszył i wysforował się znacznie do przodu, mężczyzna obrał go za cel. Gdy był już dostatecznie blisko, zamroził wodę przed nim w kształt kolca, a krokodyl z rozpędu wbił się prosto w niego. W wodzie pojawiła się krew. Drugi drapieżnik przyspieszył. Hadar był na niego gotowy, ale gad nie zbliżył się do kładki. Zamiast tego zaatakował swojego pobratymcę, najwidoczniej uznając go za łatwiejszy cel.

— Nie oglądajcie się. Do przodu, szybko — powiedział Hadar, przystępując do budowy dalszej części przeprawy.

Nie niepokojeni dotarli na drugi brzeg, a po dziesięciu minutach byli już przy północnej granicy moczarów. Hadar postawił dzieci na ziemi. Gdy się wyprostował, ponownie poczuł ukłucie w prawym boku. Przez jego twarz przebiegł grymas bólu.

— Jesteś ranny? Pozwól, że zobaczę, może będę mogła... — zaczęła Pani P., ale Hadar powstrzymał ją ruchem ręki.

— Poradzę sobie, bywałem już gorzej raniony. Musicie uciekać, ze mną nie jesteście bezpieczni.

— Bez ciebie już byśmy nie żyli — oponowała opiekunka. — Te stwory na pewno by nas rozszarpały. Widzieliśmy, jak pożarły jedną z moich koleżanek.

— Krokodyle już wam nie zagrażają, a mnie ściga pewnie cały garnizon wojska z Veles. Niedługo tu będą. Pójdę na północ, odciągnę ich trochę. Wy na razie idźcie na zachód, za jakiś czas będziecie mogli wrócić na wschód. Kiedy obława przejdzie, powinno tu być bezpiecznie.

— A jeśli nas złapią? Jak się obronimy?

— Nikt was nie szuka, to o mnie im chodzi — zapewnił Hadar. — Nawet jeśli się na nich natkniecie, nie będą wiedzieli, kim jesteście. Powinni zostawić was w spokoju. Ale jeżeli złapią was w moim towarzystwie...

— Tak, pewnie masz rację. — Pani P. opuściła głowę. — Ale gdzie mamy iść?

— Veles jest blisko. Tam dzieci mogą wsiąść na jakiś statek i wrócić do domu. Może jakiś kapitan zgodzi się je zabrać, mogą przecież pomagać przy posiłkach czy czyszczeniu pokładów.

— One nie mają gdzie wracać.

— Jak to? Dlaczego?

— A myślisz, że jak dostały się w niewolę? Ich rodzice albo nie żyją, zabici przez rywalizujące z nimi plemię, albo sami je sprzedali. Tak wyglądają realia na ich kontynencie.

— Aha, nie wiedziałem. — Umilkł na chwilę. — W takim razie wracajcie do Tariny. Może Zygryd znajdzie im jakieś zajęcie, pracuje u niego przecież wielu nastolatków.

— Obawiam się, że na Zygfyda, czy jak go tam zwał, też nie możemy liczyć. Jeśli nasza karawana została zaatakowana jeszcze w Tarinie, oznacza to, że cała siatka została zdekonspirowana. Zygfyrd albo już nie żyje, albo zmienił miejsce pobytu. Nie znajdę go.

Hadar podrapał się po policzku. Argumenty Pani P. były logiczne, a on nie widział żadnego sposobu, żeby im pomóc. W dodatku z każdą chwilą, jaką przebywali w jego towarzystwie, rosła szansa, iż zostaną złapani.

— Nie wiem, co możecie zrobić. Ja na waszym miejscu wracałbym mimo wszystko do domu. A teraz już uciekajcie. Żołnierze zaraz mogą tu być.

Pani P. popatrzyła w kierunku bagien i westchnęła.

— Dobrze, dziękuję za twoją pomoc.

Hadar obracał się już na północ, gdy Pani P. dodała:

— Właściwie dlaczego nam pomogłeś? Miałeś nas przecież tylko dostarczyć na miejsce. Wykonałeś swoje zadanie, a mimo to ryzykowałeś dla nas życie.

— Hm — zastanowił się Hadar. — Nie wiem. A dlaczego ty rzuciłaś się pod płonący wóz, żeby otworzyć klapy?

— Rozpoznałeś mnie? — Na twarzy opiekunki pojawił się nikły uśmiech. — Zygfyrd mnie oszukał. Nie wiedziałam, że dzieci były niewolnikami. Nie na to się pisałam. Nie mogłam pozwolić im zginąć.

Hadar popatrzył na nią przez chwilę.

— Mnie nikt nie oszukał. Idźcie już.

By nie przedłużyć niepotrzebnego, sam ruszył biegiem w las. Nie widział tego, ale chłopczyk chciał za nim pobiec. Zobaczywszy jednak, że reszta grupki została na miejscu, zrezygnował z tego zamiaru. Po chwili Pani P. wraz z dziećmi udała się na zachód. Hadar już nigdy więcej ich nie zobaczył.

Biegąc przez las, sam zastanawiał się, dlaczego im pomógł. Przecież nie wymagały tego rozkazy króla Olana. Co więcej, stracił w ten sposób cenny czas, przez co mały jego szanse na powrót do domu, a to na pewno nie spodobałoby się władcy Tariny. Nie tak dawno dziwił się motywom postępowania Zenira Ulli, a dziś wiele wskazywało, że sam kierował się uczuciami zamiast logiką. I mimo że jego czyny wiele różniły się od mściwych gestów lorda nadmorskiej prowincji, to do końca nie rozumiał swojego postępowania i nie był z niego zadowolony. Tak, ocalił czwórkę osób przed pewną śmiercią, ale czy ryzykując dla nich swoim życiem nie łamał w pewien sposób rozkazów króla?

Nie, jeśli zdoła dotrzeć do Ver Tar. Wiele razy wykonując rozkazy miał przecież dowolność w ich realizacji. Nie inaczej było tym razem. Szybko zapomniał więc o rozterkach i skupił się na przeżyciu.

Po jakiejś godzinie biegu na północ postanowił się zatrzymać i przyjrzeć ranie. Im dłużej z tym zwlekał, tym rosło prawdopodobieństwo, że opuchlizna uniemożliwi mu dokładne zbadanie kontuzji. Rozpiął koszulę, na wysokości dolnych żeber zauważył dosyć duży siniak, który zaczynał już puchnąć. Palcami starał się wy badać, czy doszło do złamania któregoś z żeber. Wydawało mu się, że nie. Nie odczuwał również bólu podczas oddychania. Na razie wszystko wskazywało, że nie jest to groźny uraz. Zawsze miał twarde kości, a potężne mięśnie na pewno dobrze je chroniły. „W porządku — pomyślał zadowolony — złamane żebra goją się nawet dwa miesiące, udało mi się tym razem”. Nie zmieniało to jednak faktu, że ból mu przeszkadzał i w dodatku nasilał się z każdą minutą. Najgorsze było jeszcze przed nim.

Nie słyszał żadnej obławy, nie widział nikogo, lecz nie wątpił, że Kadryjczycy podjęli poszukiwania. To, co miał przy sobie, było zbyt cenne, żeby tak po prostu zarzucić pościg. On sam był zbyt cenny. Mimo że nie miał o sobie przesadnie wysokiego mniemania, znał wartość

swojego wyszkolenia i faktu, że nikt poza nim nie potrafi posługiwać się mocą zaklętą w toporze z niebieskim klejnotem. Toporze Waruny, jak go nazwał swego czasu król Olan.

Oddychał głęboko, starając się odpocząć przed kolejnym biegiem. Zastanawiał się nad dalszymi krokami. Czy był już wystarczająco daleko od Krokodylich Mokradeł, by odbić na wschód? Czy może powinien jeszcze przez jakiś czas kierować się na północ? Nie znał rozmiarów oblawy. Nie wiedział, z których kierunków może się spodziewać żołnierzy. Po namyśle postanowił jednak kontynuować podróż na północ, na wschód zawsze zdąży skrócić.

Przed sobą widział inny problem. Po wyczerpującej podróży wozami, walkach i ucieczce był już naprawdę zmęczony. W dodatku zaczął doskwierać mu głód. Fizycznie bez jedzenia był sobie w stanie poradzić jeszcze dzisiaj czy jutro, ale wiedział, że ból, głód i zmęczenie potrafią szybko wpędzić w podły nastrój nawet takiego doświadczonego podróżnika jak on. Nie zamierzał się poddawać, lecz zdawał sobie sprawę, że w jego sytuacji każdy szczegół mógł decydować o przeżyciu. „Rusz się, nie siedź w miejscu, nie pozwól negatywnym myślom przejąć nad sobą kontroli”. Od razu pobiegł dalej.

Niebo zasnuło się chmurami, a słońce powoli zniknęło za horyzontem, gdy zatrzymał się po raz kolejny. Ostatnie dwie godziny już tylko szedł, był zbyt zmęczony nawet na trucht. Ciężko oddychał. Usiadł i oparł się plecami o drzewo. Musi znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby odpocząć, nabrać trochę sił. Jakiś czas wcześniej usłyszał nawołujących się ludzi. To spowodowało, że porzucił kierunek północny i wbrew wcześniejszym planom odbił na zachód. Niestety nie widział innej możliwości. Oblawa wydawała się nadchodzić z południa, północy i ze wschodu. Zaczerpnąwszy kilka głębokich oddechów, już miał wstać i przeć dalej, gdy usłyszał znajomy trzepot potężnych skrzydeł. Wyverna.

Stwór kręcił się przez kilka minut po okolicy, ale nie dostrzegłszy ukrywającego się pod drzewem uciekiniera, odleciał na wschód. Hadar uznał, że nie może tracić czasu, czym prędzej ruszył w dalszą drogę. Wkrótce zapadł zmrok, księżyc skrył się za chmurami, a z nieba spadł rzęsy deszcz. „Zmoczy mnie, zziębnię, ale nie mogę zostać w miejscu”. Po następnych dwóch godzinach marszu ślaniał się już na nogach. Potknął się o wystający z ziemi korzeń i uderzył prawym bokiem o gruby dąb. Z największym trudem nie krzyknął z bólu, zamiast tego bijąc pięścią w ziemię. W myślach ganił się za nieuwagę.

Gdy tak leżał, walcząc z bólem, w pobliżu pojawiła się kolejna wyverna. Przez hałaśliwy szum deszczu nie usłyszał w porę zagrożenia. Jeden z siedzących na grzbiecie stwora ludzi trzymał w ręku zapaloną pochodnię i pokazywał na Hadara. Gad zniżył lot, zawisając kilka metrów nad ziemią. Było za późno na ucieczkę. Jeśli żołnierze zsiądą na ziemię, będzie musiał walczyć. Wyverna powoli opadła na błotnisty grunt. Hadar stracił ją z oczu; wołał udawać nieprzytomnego, licząc, że może w łatwy sposób pozbędzie się choć jednego z żołnierzy.

Fortel przyniósł zamierzony efekt. Hadar spod półprzymkniętych powiek zauważył, że podchodzi do niego jeden z wojskowych. Gdy tylko poczuł przy ciele ciepło ognia z pochodni, szybko wyprowadził atak. Złapał przeciwnika za rękę i przytknął mu płonąca żagiew do twarzy. Zanim wojak zdążył cokolwiek zrobić, topór Hadara rozplątał mu brzuch. Żołnierz padł na ziemię, bezskutecznie próbując powstrzymać wylewające się na błoto wnętrzności. Jego towarzysza, siedzącego cały czas na wyvernie, ogarnął szok. Nie wiedział, co robić. Zaatakować mordercę czy uciekać, by dać znać kompanom, że znalazł ściganego?

Hadar nie znał wartości bojowej wyvern, do tej pory nie widział, aby były używane do czegoś więcej niż transport ludzi, ale wołał nie tracić inicjatywy. Dotknął toporem mokrego podłoża, formując od siebie do stwora ścieżkę z wody, którą zwiędził kilkoma lodowymi kolcami. Słychać było trzask łamanych szpikulców. Stwór musiał mieć twarde łuski, ale Hadar chyba jednak trafił go w jakiś czuły punkt, bo gad stanął prawie pionowo i głośno zawył. Z

podbrzusza ciekła mu krew. Po chwili wrócił do pochylonej pozycji i zaczął się kręcić w kółko, uderzając ogonem o pobliskie drzewa. Jeździec na jego grzbiecie na pewno spadłby na ziemię, gdyby nie pasy przypinające go do dwuosobowego siodła. Tylko dzięki nim walczył z wierzchowcem, starając się odzyskać nad nim kontrolę.

Hadar nie atakował, nie chciał zostać niepotrzebnie trafiony przez szamoczące się zwierzę, zwłaszcza że walka mogła już być wygrana. Uważnie obserwował przeciwników, gotowy ponowić uderzenie w każdej chwili. Po kilkunastu sekundach jeźdźcowi udało się zapanować nad gadem. Stwór ociężałe wzbił się w powietrze i odleciał na wschód, zostawiając po sobie tylko krew i ślady łap w błocie oraz pokaleczoną korę na drzewach.

Hadar czym prędzej dopadł do martwego żołnierza i zaczął go przeszukiwać, licząc, że znajdzie jakieś jedzenie. Nie zdziwił się jednak, gdy poszukiwania okazały się bezowocne — wojskowy miał przy sobie tylko małą drewnianą figurkę Córki. Ściągnął z niego przeciwdeszczową pelerynę i założył na siebie. Była na niego za ciasna w ramionach, nie mógł się nią opatulić, ale przynajmniej w jakiś sposób chroniła przed deszczem i wyziębieniem. Zmęczony i zawiedziony, ledwo poruszając nogami, udał się na zachód.

Wolnym tempem parł przed siebie, spodziewając się w każdej chwili pojawienia się kolejnej wyverny lub chociaż oddziału kadryjskiej armii. Ku jego zdziwieniu, nic takiego nie następowało. Czyżby ranny gad nie doleciał do reszty oblawy i nie dał jej znać o miejscu spotkania ze ściganym? Każdy prezent od losu był mile widziany, lecz Hadar był zbyt zmęczony, aby się z niego cieszyć.

Niestety kolejny dzień przyniósł pogorszenie sytuacji. Co prawda przestał padać deszcz, ale on znalazł się akurat w rzadkim, nie porośłym jeszcze o tej porze roku liśćmi lesie, który w żaden sposób nie mógł go ukryć, gdy usłyszał dochodzące z kilku kierunków nawoływania żołnierzy. Byli naprawdę blisko. Potrzebował szybko znaleźć schronienie. Resztkami sił pobiegł w stronę znajdującego się kilkadziesiąt metrów przed nim urwiska. Zsunął się po piaszczystym zboczu i rozejrzał dookoła. U podnóża skarpy rosła gęsta kępa krzaków. To był jego jedyny ratunek. Szybko, choć niezdarnie, przeskoczył zarośla i po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że szczęście mu sprzyja. Za roślinami, skrzętnie ukryta przed wzrokiem każdego, kto by tędy przechodził, ziała wykopana przez jakieś zwierzę jama.

Zajrzał do jej wnętrza. Słońce oświetlało tylko niewielki kawałek ziemi przy wejściu, ale gospodarza nie było chyba w domu. Nogami do przodu, wsunął się do środka. W pierwszej chwili wydawało mu się, że nie jest w jamie sam, ale nic go nie atakowało, więc odpędził te myśli i czekał na pościg.

— Nikogo tu nie ma — usłyszał po kilkunastu sekundach.

— Może mi się wydawało. A w krzakach?

— To sobie w nie wchodzić. Znowu coś na mnie wyskoczy.

— Nie musicie w nie wchodzić, z góry dobrze widzę, że nikogo w nich nie ma.

Nastąpiła chwila ciszy. W końcu jakiś głos przemówił:

— A w ogóle idziemy w dobrym kierunku? Nie sądzę, żeby dotarł tak daleko. Nikt nie dałby rady przejść tyle kilometrów bez odpoczynku. Na pewno zgubiliśmy go gdzieś wcześniej. Musimy zawracać.

— Rozkaz był szukać tutaj. Po południu ma przylecieć druga wyverna, to powinno ułatwić poszukiwania. A teraz naprzód, musi być gdzieś blisko.

Hadar odczekał, aż wojacy się oddalili i głośno wypuścił powietrze z płuc. Miał zamiar odpocząć tutaj dłuższą chwilę, może nawet się przespać, ale nagle poczuł delikatne, lecz zdecydowane, ukłucie czegoś ostrego i metalowego na swojej szyi.

— Kim jesteś i co robisz w mojej jamie?